



PSZONKA.

PRZEMIANY PANA JANA SZAMBELANICA.

Kto niezna pana Jana szambelanica, a przynajmniej, kto o nim nie słyszał w kraju i na tułactwie? Kto niezna dziejów jego poświęceń, jego męczeństw, jego apostołstwa?

Już widzę jak zdziwione otwieracie oczy, zapytując: — Co za pan Jan? co za szambelanica? Nieznamy takiej sławy żadnego pana Jana, a jeszcze szambelanica!

— Znacie go, znacie, ja wam powiadam, znacie jak zły szeląg. Kilka słów jeszcze, a ręczę że go poznacie. Słuchajcie!

Każdy wiek, każde wielkie wstrząśnienie w narodzie wydaje wielkiego człowieka. Pan Jan jak skała w czasie trzęsienia ziemi wyskoczył z rewolucyjnego morza. Z rewolucyjnego powiadam, ho przedtem nie był się jeszcze wykiął ze swojej skorupki. Znajdąc go wówczas tyle byś miał o nim do powiedzenia, ile o białku i żółtku, z którego przecież może wyskoczyć z slioznemi piórami czubaty kogut. Jakoż zarodek pana Jana tak był niefortunny, że czegokolwiek się dotknął, jakiegokolwiek zaprobował stanu, wszędzie mu szło jak z kamienia. Wychowany przez ojca, najczystsze Babińczyka, a niegdyś szambelana JKM. Stanisława Augusta, jako jedynak miał sobie surowo wzbronione wszelkie mordowanie umysłu; za to sam jegomość przelewał ustnie w niego swoje zasady, mówiąc: — Dajcie pokój memu Jasiowi, niezałężyć on gruszki w popiele; mnie wróżka powiedziała, że Jaś sławę donu naszego do gwiazd podniesie. Pamiętaj chłopcze, że jeśli niebędziesz prymasem, musisz być hetmanem, jeśli nie hetmanem, to przynajmniej kanclerzem. To też pan Jan dobrze to sobie na wąż namotał; a już miał wasy, choć jeszcze niegładko czytał w Niesieckim długie legendy o swoim herbie z osłą głową na tarczy; i kiedy ze zgonem kochanego rodzica ujrzał się na bruku, bo trzeba wiedzieć że jegomość wszystko przehandlował na węgryna, przyszła mu myśl arcy szczęśliwa udać się pod protekcję herbownych i skoliگانonych. Jak mu się tam wodziło? niewiem; to pewna tylko, iż znowu musiał rozmyślać nad swoim losem, kiedy z pustą kieszenią, w jednej kapocie wchodził do stolicy. Przypomniawszy sobie słowo wyroczni: będziesz prymasem! wszedł do konwentu, i przywdział kaptur. Mineły te

czasy, kiedy u ojców Bernardynów dobre bywały miody; teraz, i miodu niedawano, i kazano ślezczyć nad brewijarzem, i klepać pacierze i we dnie i w nocy. Pan Jan zbrzydził prędko stan duchowny. Niebędę prymasem, ale mogę być hetmanem. To pomyslawszy zrzucił rewerendę. Ale gdzie być hetmanem?... W wojsku polskim i ciężka i gorzka służba; szlachcic z dziada z pradziada, hrabia, książę nawet, jak chłop prosty od żołnierza, z karabinem na plecach dosługiwać się oficerstwa musi. A ile lat jeszcze?... Z resztą, potworzyli jakieś szkoły, jakieś examina, to zakrawa na naukę. Wojsko moskiewskie stanęło mu w myśli, tam herbowny w kilka miesięcy może zostać oficerem. Ale jak tu Polakowi służyć w wojsku moskiewskim?... Ej, niepierszymi nie ostatni, rzekł sobie i przywdział mundur moskiewski. W tém, niestety ściągające zawsze pana szambelanica napędziło mu jakiejś miody i dostał się do lazaretu, w którym doczekał się owej pamiętnej nocy 29 listopada.

Teraz sęk! co tu począć?... Iść za wojskiem moskiewskim niewypada, i po co wreszcie? Rewolucya właśnie otwiera karierę. Ale gdzie? Na polu bitwy! Dziękuję! W pierwszej potyczce zginąć można. W rządzie?... Tam już pięciu! Niema miejsca. Ha! w gwardyi narodowej! I stało się. Prostopoduszne Warszawialki obrały pana Jana podporucznikiem. Zmartwił się, bo był pewny szlif bulijonowych, ale wytłumaczył sobie, że lepiej być na bruku warszawskim podporucznikiem, niżli w polu jenerałem, a tymczasem może będzie sposobność dochrapać się czegoś lepszego. Czepiał się więc wszystkich gubernatorów, znośił im nowinki to z dziurki, to z Honoratki, to z klubu, to z bruku, niewątpiąc, że te zasługi muszą go posunąć wyżej koniecznie. Nieprawda! zmiany częste gubernatorów niedozwołyły panu Janowi rozgościć się w ich sercach. W tém zaczęto formować pospolite ruszenie. Ha! teraz pora! Co zdatniejsze z młodych i starszych, oddawna już w obozie, w pospolitem więc ruszeniu dorobić się czegoś potrafię! A gdyby naprawdę przyszło kiedy do boju? Fraszka! Pan Jan zanadto długo wycierał się przy pierwszych matedorach rządu rewolucyjnego, żeby mógł sądzić, że chłopom bić się pozwolą! I poszedł. Niestety! Jeszcze pospolite ruszenie ruszać się niepoczęło, już powstanie upadło. Teraz

pan Jan znalazł się w prawdziwie krytycznym położeniu. Został w Warszawie niepodobna! *Perekinezyk* był pewnym nieochybną kary. Więc niedługo się namyślając wyszedł z wojskiem narodowym na Pragę. Odtąd pan Jan aż do wejścia w granice pruskie podzielał wszystkie losy powstania, sam nawet własną ręką kilku Żydów w drodze obwiesił; to też przechodząc granicę zawołał w dumie czystego sumienia: — Oby tak każdy dopełnił powinności swojej dla ciebie droga ojczyzno!... Umiał też rząd ocenić tyle męstwa w podporuczniku gwardyi narodowej, i zaledwie pan Jan stanął na ziemi pruskiej, już krzyż *virtuti militari* zabłysnął na jego bohaterkiej piersi.

Najtrudniejsze początki, mówi stare przysłowie, i teraz przeto pan Jan nienamyslał się długo co począć. Legijony polskie we Francji usmiechnęły się do niego czującą wdziękiem. Tam spieszyć i dniem i nocą, żeby inni nieubiegli miejsca, postanowił niezmiennie.

W przejeździe przez Niemcy, owe tryumfy, illuminacje, bale, kantaty, fajerwerki, prezenta, całe to wylanie się serdecznego narodu przywitał pan Jan poważnie i z godnością, bo wiedział dobrze, co się jego zasłudze i męztwu należy.

Stał wreszcie na ziemi francuskiej. Nowe tryumfy, nowe honory. Rosł pan Jan jak placek na drożdżach, ale niedługo osiadł jak zakalec, bo nad wszelkie pana Jana spodziewanie nie tylko legijonów nieformowano, ale nawet wyraźnie oświadczone, że teraz, gdy *porządek panuje w Warszawie* gadać o legjonach niewolno.

Kiedy tak zawiedziony w widokach zewnętrznych męczył się pan Jan w sobie, poczuł w organizacyi swojej wewnętrznej szczególną odmianę. Zdało się że powietrze, którym oddychał, jest przepelnione atomami axyomatów filozoficzno-politycznych, bo nic nieczytając — pan Jan niemógł nigdy pokonać wstrętu do czytania — przesiąkał wszystkiemi, czém chciałeś, i nic długo potrzebował mu tłumaczyć, bo wstrząsając głową z usmiechem zarozumienia mówił: Już ja o tём dawno wiedziałem.

Tyle mądrości niemógł odłogiem zalegać pola. Owoż gdy pewnej nocy dręczony bezsennością przewracał się pan Jan na łożu spoczynku jak wąż w popiele, stanęły mu w myśli spiski, konspiracye, tajemne towarzystwa. Pan Jan niemiał zwyczaju długo rozważać, i od razu poczuł, że odtąd warsztatem jego działań być powinien świat; konspiracye długie a wązkie od zachodu na wschód; propaganda na migi od północy do południa. Ogromne stosunki, ogromne systemata, olbrzymie prace. Dziś być w łoży wolno-mularskiej, jutro w porębie węglarskim, pojutrze na posiedzeniu obrońców praw człowieczeńskich. Godziny, dnie, wieki niewystarczyły na tyle działań, a wszystko dla całego rodu ludzkiego! A znowu dla Polski, w swoim zakładzie, trzeba było urabiać umysły wiarusów do pojęć polityczno-filozoficznych, do wzniosłych kombinacyi, tworzyć stronictwa krzykliwe, silne, co by nie tylko mowa ale i czynem umiały poprzeć rozumowanie. Takiego teraz przyjął pan Jan obowiązki na siebie; a z jaką je żarliwością wypełniał, ile przeżył trudów, niebezpieczeństw, ile razy o mało życia niepostradał? Ach! któż policzy wszystkie sprawy tego atlety? Dziwnem jednak zrządzeniem losów grono jego stronników codzien widocznie szczupłało; bo chociaż ciągle im powtarzał: — Niebierzcie się do niczego! wy ludzie polityczni! niech się ci ucza, co są osłami! jak słońce świeci samo z siebie, tak i człowiek świecić powinien! Jednakże z czasem, to nędza, to jakieś tajemne rozumowanie pociągnęło jednych do warsztatów, drugich do szkół, innych do innej pracy, a mistrz sam został.

Ujrzawszy się opuszczonym, zaczął rozpaczać, że nicma duszy, która by go rozumiała; stąd przyszła mu reflexya, że to wszystko, co tam mówią, piszą, drukują, są nędzne, do niczego nieprowadzące półśrodki. Więc przeklął wszystkie masonerye, karbonarye, zamknął się, pił dużo wina, ćmił wiele fajki, dostał melancholii. Bóg wie co by się z nim było stało, gdyby nie ów sławny obchód rocznicy 29 listopada, na którym spotkał się z dwoma wielkimi ludźmi: jednym, niegdyś swoim kolegą oficerem artyleryi gwardyi narodowej, i z drugim, jakimś Koklesem. Oni go dopiero objaśnili, że arystokraci właśnie pozna-

wszy się na jego talentach kładli tamę wszystkim jego dotychczasowym zabiegom, z obawy, żeby im biskupstw i hetmaństw niepodszeli. Od razu otworzyły się oczy panu Janowi, postrzegł jak na stole cały szereg intryg, które pod nim arystokracja kopała. Usunąć przeszkody, wywieszać, wysztyletować, było jednej chwili postanowieniem. Kupił więc strycalek i sztylet, i rzekł sobie: Będę demokratą! Demokratą na zabój! i został. Ale niewiele potrzeba było czasu, żeby przeciwność, ślad w ślad za panem Janem idąca, nowym go nieugodziła ciosem. Demokraci za jakieś tam, jak mówiono, niebardzo czyste stosunki wyrzucili go z grona swego. Opuszczony i wzgardzony od wszystkich na tułactwie, zwrócił pan Jan swoją uwagę na kraj rodzinny, na Polskę, i po krótkim namysle wniósł, że trzeba apostolować przykładem, że czynić przed myślą powinien. Ucieszony tём odkryciem wołał z dumą: — Niepoznały się na mnie towarzystwa, niepoznały komitety, niepoznała Francya, co się ma za mądrą, opuścili mię ci, których podniosłem do siebie! Niewdzięczni! czekajcie! i ja zapomnę o was na dniu sądnym, kiedy was przed lud powołam. Tak, przed lud was powołam, bo przez lud będę prymasem, hetmanem, kanclerzem, czém zechcę. Rozradujcie się cienie mego ojca!

To rzekłszy spakował manatki, wziął kij i puścił się rzemiennym dyszlem na wschód. Idąc długo a długo, zaszedł do pewnego dworu bogatego szlachcica, gdzie przyjęty po staropolsku, po dobrym obiedzie i kilku kieliszkach węgryna, zapytany po co przychodzi, z miną urzędowej ważności powstał i rzekł: — Przychodzę lud przeciw panom poburzyć! — Toś waszmość źle trafił, odeprze szlachcic, bo tu dwór, a ja dziedziec. Ale pan Jan puszczając to mimo uszu wpada w zapał, i dobywając sztyletu: — Giń z twoim rodem tyranie! my chłopci twoim się podzielimy majątkiem. Niech żyje Gonta, niech żyje Żelazniak! Wiwat rzecz humaniska!... Kobiety narobiły hałasu, dzieci płaczu, szlachcic osłupiał, lecz ochłonawszy po chwili, widząc że nieprzyjacieli nieliczni, zawołał do dworskich: — Przerzucicie go za dziesiątą granicę, i dajcie mu pamiętne na drogę. Zaprawdę, żaden to apostoł, który żelazem do przekonania chce trafić.

Jest coś jeszcze niedoskonałego w tój teoryi, pomyślał pan Jan, przychodząc po niejakiem czasie do siebie, albo zepsucie świata doszło do ostateczności; i wzbogacony doświadczeniem wrócił do Francyi szukać kamienia filozoficznego.

Uważając się za mikrokosmos, był przekonany, że skoro się w nim jaka rewolucya odbędzie, tём samem i w społeczności odbyć się może; to też zamknął się, ciągle myślał, rewoltował wewnątrznie, wiązał systemat, budował społeczność, zarzucał nawet wino i wódkę, nie palił fajki. Ale darmo! jak to mówią: z pustej stodoły wyleci tylko wróbel albo sowa. Szczęściem gruchnęła naówczas boskim swoim manifestem gromada *Grudziąż*. Pan Jan nieczytał, ale od razu rzecz zrozumiał, a zawołałszy: Uprzedzili mię tylko! Jeszcze półgodziny a byłbym wpadł na to samo. Dohrze! mówił tonem triumfującym, wam chwala konceptu, a mnie przeprowadzenia go w życie! Znowu więc spakował manatki, i znowu powędrował na wschód, jak kometa zwiastujący koniec starego a początek nowego świata.

Tą razą, pan Jan już niebrał sztyletu, lecz niemniej mordował okropnemi wyrazami emancypacyi, regeneracyi, filantropii, falansterów, falangów, rewelacyi, i szumnym wykładem o wspólności majątkowej, a najbardziej o wspólności płci pięknej. Nauka ta, tak czysta, tak niewinna, póki kończyła się na słowach, na teoryi, znalazła wiele zwolenników i zwolennic, ale sprawiła najokropniejsze zamieszanie, odtąd pan Jan chciał ją praktycznie, experimentalnie dowodzić. Gdy bowiem u jakiegoś szlachcica, już doprawdy napompowanego nieco wiatrem wspólności, niedość że się rządził jak szara gęś w domu, pokusił się o zakazany owoc, szlachcic widząc co się święci, zapomniał i o braterstwie, i o obowiązkach społecznych, i o wszelkiej spółce, tak, że z wielką obrazą opowiadanej nauki, najokropniej apostoła przez kij przesadził.

Nielepiej się i gdzieindziej powiodło panu Janowi, choć na końcu porzucił wygodne dwory, i z chłopami zadawać się począł, gdyż ci niemogąc zrozumieć górnego propagandy języka, a przy-

tém poznawszy się na farbowanych lisach zawołali: — Ej! to jakiś włoka, pewnie go Moskal wysłał, żeby nas w biedę wprowadził, i dali mu także odprawę.

Tyle niepowodzeń niezłamało jednak w panu Janie ducha apostolskiego. Narzekając tylko na świat bardzo jeszcze nieprzygotowany do tak wzniosłych pojęć, odhywał potem missyę pojednawcy. — Wy! coście niezdatni do propagandy, mówić, ślećcie nad książkami, dysputujcie, piszcie, drukujcie... Mnie zostało ziarno jedności i zgody zasiał między rzesze. I znowu poszedł jednoczyć kózłw z baranami, złych z dobrymi, głupich z rozumnymi, zdrajców z patryotami, łakomych z hojnymi, samolubów z ludźmi poświęcenia. Niewiem jak się mu tam wodziło, to tylko pewna, że jak przyszedł tak wrócił. Niezdesperował wszakże, niewyszło bowiem kilka tygodni, kiedy zasłyszawszy: — Krzyż nas zbawi i modlitwa! — Prawda! Prawda! zawołał. Jam, co tyle przeszedł kolei, com tak gorąco poświęcał się dla Polski, com jęć tak szczytne poddawał nauki, cożem wskórał, com zrobił? Nie ludzkatu moc pokonać boskie wyroki! Tajemne sądy boże! W bogu złóżmy nasze nadzieje, modlmy się. pokutujmy! Jak bóg zechce, będzie Polska; jak bóg nie zechce, próżne nasze zabiegi i starania. I stało się! wszedł do klasztoru, bił się w piersi, klęczał na grochu, pościł nawet czasami. Zbłąkanemu trudno tylko trafić na drogę, ale raz na nią wpadłszy, łatwo pozna bywałec w której stronie przybytek. To też pan Jan niedługo popasał w klasztorze, bo widząc, że tam o nim nie myślą i jeszcze popychają jak miotłę, przeklął katolicyzm, i papieża, i zbawienie duszy, i zbawienie Polski a wracając na łono herbownej, koronowanej Rzeczypospolitej babińskiej, zawołał: — Że też to człowiek tak późno przychodzi do rozumu, i jeszcze go tak ciężkiem okupuje doświadczeniem. Szlachcie z dziada z pradziada, chciałem przez głupich chamów, przez zarozumiałych filozofów osiągnąć przepowiedzianę mi wielkości. Oto syn marnotrawcy wracam do rodzinnego domu. Ucieszcie się szambelańskie cienie ojca mego!

LIST PRZYJACIELSKI DO JENERAŁA

Skrzyneckiego.

Pod tym tytułem znajdujemy w *Młodej-Polsce* list do Jenerała Skrzyneckiego, napisany z powodu wejścia jego do służby belgijskiej, powtarzamy go w *Pszonce* jako arcy pocieszny i ciekawy dokument.

« Jenerale! Dalibóg dziwne jest przeznaczenie twoje. Ledwie kościół popadnie gdzieś prześladowaniu, zaraz bóg podaje ci oręż do ręki. Taki człowiek jest więcej niż królem. Trudno, abyś nie dał przystępu do serca uczuciom dumy, ale wspomniawszy na powinności które przyjmujesz na twoje barki, na odpowiedzialność, co spada na ciebie, zapewne cię przestrasz ogarnia, bo przyjdzie dzień, w którym pan ci powie « Złożyłem w twe ręce wiarę, nadzieję i przyszłość narodu? coś z nim zrobił? coś zrobił ze krwi jego dzieci, z zapalu jego żołnierzy, z oręża, którym dłoń twoją uzbroiłem? » Jenerale, już raz zawiodłeś nasze usiłowania i męstwo, i w naturalnym porządku rzeczy rozpacz i boleść wzburzyła nasze serca przeciw tobie. Bo też istotnie popełniłeś dużo grzechów, bo też istotnie mogłeś przemodzą nieprzyjaciela, gdybyś był chciał przemodzą samego siebie, gdybyś się był oparł złemu popędowi twojej natury. Winicneś, bardzo winicneś, a tém bardziej przeto winicneś, że się użnaczyć do winnego wzdrgasz, że chcesz zrzucić swoje grzechy na drugich. Jest za prawdę niemało takich, którzy razem z tobą grzeszyli lecz że bóg i naród może najwięcej żądać od przywódcy, że ty najwięcej miałeś sil do rozrządzenia, ty więc jesteś najwinniejszy.

Chcę dziś jenerale szukać w twym charakterze pierwiastku błędów, które wywarły wpływ zgubny na naszą historję i nasz sprowadziły upadek. Niemyszę cię przez to obrażać; nikt ode mnie więcej cię niekocha, ale należysz do historii, każdy więc ma prawo rozstrząsać twoje życie i sądzić twe czyny.

Znalezi się ludzie, co się ważyli powątpiewać o twojej bezinteresowności. Ci ludzie nieznali cię zapewne. I potem, dla Polaka, to nie jest nawet zasługą nie lubić pieniędzy. Polakowi ra-

czej możnaby naganąć bezinteresowność i nierozumienie wartości pieniędzy. Drudzy cię posadzali o butne zamysły, mówili, że w snach twej ambicji widziałeś nieraz koronę na twojej głowie. Chciałbym wierzyć w słuszność tego zarzutu, w móm przekonaniu jestto wielką pochwałą. Przecież oręż bohatera wart przynajmniej tyle co berło. Bodajbyś był miał więcej jeszcze ambicji! bodaj był obraz Napoleona częściej jeszcze stawał ci na myśli! Ale nieszczęściem dla nas i dla ciebie niepożądałeś nigdy na prawdę korony Bolesławów i Batorych; nieśmiałaś nawet sięgnąć okiem po buławę Zamojskich i Chodkiewiczów. Ja ci nawet wyrzucam, żeś ty zapomniiał, że człowiekowi, którego bóg na czele narodu postawił, wolno się o wszystko pokusić, że dla jego ambicji zawód bez granic stoi otworem.

Z szczególniej laski opatrności nieidziesz jenerale! z tych wysokich i potężnych rodów, których zepsucie w ostatnich wiekach sprowadziło upadek kraju. Niebyłeś wykołusany w tych spaniałych salonach, których zbytek tak krzycząco odbija przy nędzy chłopca. Podobano się bogu postawić cię bliżej ludu. Na nieszczęście niepojąłeś korzyści podobnego położenia, i ledwoś stanął przy władzy otoczyłeś się natychmiast tém, co przez żartobliwe omówienie świat nazywa wyhorem narodu. Zapomniałeś, że do twardej roboty rewolucyjnej najlepsze jest ramie ludu, że lud powinien być mieć swoich reprezentantów przy tobie. Trzeba było w dniu walki wybrać np. najwaleczniejszego z tych krakusów, coto gryzli ładunki, jak gdyby obłęd powszedni, zrobić go swym adjutantem, i powiedzieć mu, że tępiąc szablę na pierśiach nieprzyjaciół, można ją w hetmańską buławę wyrobić. Lud byłby zrozumiał te słowa. Ale ty pomiędzy sobą i ludem rozstawiłeś szwadrony adjutantów, jeden nad drugiego czyszcisz krew szlachecka. To był twój dwór. Zdało ci się że urosłeś, patrząc jak te świetne nazwiska czepiały się twego skromnego imienia. Zręczni, ułożeni wcześniej do intrygi, znający doskonale taktykę pochlebstwa, krążyli oni koło ciebie, aby upatrzysz słabą stronę twego charakteru, modz się wedrzeć do twojej duszy, i rządzić twém postanowieniem. Takto odrzucając na stronę oręż uświetniony zwycięstwem wzięłeś się do pióra, i popędziłeś w nieznane ci pola dyplomacyi. Osądź sam dzisiaj, czy spotkania dyplomatyczne były dla ciebie. Dziwnie pomyliłeś się o samym sobie. Twojém piórem powinna była być szabla, a buletyny zwycięstw powinny były zająć miejsce protokółów. Dyplomacya zgubiła Polskę w ostatnim wieku, zgubiła ją także w 1831 r. I ilekroć pójdziem o lepszą z innemi narodami w walce dyplomatycznej, tylekroć będziemy ofiarą, bo w rzeczy chytrności i finesów, mamy nie przymioty ale same pretensye. Nasza dyplomacya wystarcza zaledwie na codzienne wypatki, których teatrem salony, a rezultatem poddanie wyższego stopnia w łasce kogoś, co może być użytecznem. Przyznaj jenerale, że masz umysł, któremu brak pewności, i masz wolę z przyrodzenia chwiejącą. Potrzeba ci wiary w siłę narodu, a masz maniję rozumowania i wątpienia. Zapomniałeś i na polu bitwy i wszędzie, że dyskusya, że umiejętność, same, bez wiary w siłę, prowadzą najczęściej do wahania się, do niedecyzyi. Bodajżeś nie spuszczał nigdy z oka, że gdybyś był mniej rozprawiał a więcej działał, niebyłbyś nas zgubił. Bodajesz zawsze miał się na straży przeciw temu nalogowi twego umysłu do próżnych poszukiwań i błędzeń po długich zakrętach wątpienia. Bodajesz mógł zostać człowiekiem niepodległym względem możnych. Biada ci, jeżeli sądzisz, że cię ich uprzejmość zaszczyca. »

Twój przyjaciel od serca.

Z POWODU POEZJI LUDWIKA MIEROSŁAWSKIEGO.

Gdzie jesteś czarciu, szatanie!
Przybwyj przekłętą duchu!
Oto trzykrotne wezwanie
Puszczam do twojego słuca.
Spiesz, wstępuj do mego łona,
O najplugawszy z plugawych!
O ty samych piekiel zmazo!

Klnę cię przez twoje imiona,
 Klnę ciebie całą obrazą
 Słów obelżywych, słów krwawych,
 Spiesz! Ha! jesteś! Słuchaj czarcie!
 Potrzebne mi twoje wsparcie,
 Ta chwila czarna, przeklęta.
 Pamięć ją twoja pamięta,
 Kiedym na piekielnej karcie
 Stwierdził moją krwią serdeczną
 Zgodę między nami wieczną!
 Ta chwila przyszła na nowo.
 A więc jestem? Mów! znajdź słowo!
 Jestem tobą. Twoje czucie,
 Twoje żądze są mojemi.
 Mojem natchnieniem zepsucie,
 Uczuciem niesmak ku ziemi,
 Tak wszystko ziemskie mnie nudzi,
 Chciałbym rozbudzić tych ludzi;
 Ale chorągiew ich wiary,
 To już galgan taki stary,
 Ich cnoty takie powszednie,
 Ich miłości takie brednie,
 Że się nic z tego wszystkiego
 Niezda do zamiaru mego.
 Mnie potrzeba twego świata,
 Gdzie zacni bracia szatani
 Przez całej przeszłości lata
 Znosili sprośność stworzenia
 Jak do plugastwa otchłani.
 Tam będę szukał natchnienia,
 Tam zaczerpnę i pokazę
 Niewidziane dotąd rzeczy,
 Bryzną niemi ludziom w twarze,
 Aby się rodzaj człowięczy
 Czyścił z nich w czas najpóźniejszy,
 Jak z plam wypalonych trądem,
 Jak z krwi skażonej nierządem.
 Ludzkość do kości obnażę
 I co jest najsromonniejsze,
 Tém będę oczy jej mazał,
 Aby się taką ujrzala,
 Jaką nikt jej niepokazał.
 A ziemia cała zawoła:
 Oto poeta, któremu
 Równego dotąd niebyło.
 Chwała i przekleństwo jemu!
 A ty czarcie całą siłą
 Całego piekła mię wspieraj,
 Bądź moją muzą! otwieraj!
 Otworzył.

Wbiegłem poskokiem,
 Przemierzyłem otchłań okiem,
 I skamienialem zdumiały;
 Włosy z trwogi się rozpierzchły,
 Na drut się powypreżaly,
 Oczy zastygły, zamierzchły,
 Stoją bez blasku i ruchu,
 A jak w oczach tak i w duchu
 Przed najspronejszym widokiem
 Nienawiść ludzi rozlana
 W litość zbiegła łez potokiem,
 Duma padła na kolana;
 W zmysłach nie miałem dość siły,
 Aby się poczwarał dotknęły;
 Władze duszy równie były
 Bezsilne, by je ujęły.
 Puszczał mnie, puszczał! krzyknąłem,
 Weź twój świat z przed mego oka,
 Choćby chór wiekowej sławy
 Miał nad mojem wieszczem czołem

Tak jasnym zaświtać kołem,
 Jak twoja czarna pomroka.
 Precz świecie sprośny, plugawy!
 Nie ja twe skarby posiędę,
 Nie ja korzystać z nich będę.
 I świętym znakiem zbawienia
 W znikome mary rozbiłem
 Czarta i jego dziedzinę.
 Związki z piekłami zniszczyłem,
 Wznowiłem z ludzką rodziną.
 Tyle wiała okropności
 Owa poezya sprośności.
 Może ich próbę mieć chęć?...
 To w Microslawskim znajdziecie.

BARASZKI.

Polacy z ziem przez Moskwę zabranych obchodzili i tego roku w Paryżu dnia 25 marca pamiątkę powstania swego. Zaproszony par Francji Villemain niewiedział czy 29 listopada lub 25 marca jest rocznicą powstania Polaków. Wytłumaczono, że kalendarz litewski tak się różni od polskiego, że kiedy w Polsce jest 29 listopada tedy w Litwie jest 25 marca. Dziwił się par, ale wierzył przez grzeczność. Podczas obiadu spełniono liczne toasty, jeden był: «Chociaż tu między nami niema Polaków, niech żyją Polacy!» Dziwił się par znowu, bo był pewny, że jest między Polakami, ale zmówił na wino. I to grzeczność.

— Pan Z. umieścił w *Młodziej-Polsce* artykuł, w którym ubolewa, że na balu wyprawionym w Paryżu przez *Towarzystwo dam polskich*, wiele się rzeczy odbyło z obrazą ogólną żaloby narodu polskiego. Pan A. w odpowiedzi panu Z. dowodzi, że mniejsza o obrazę, kiedy rzecz o pieniądze idzie. Nieprawdaż, że pan A. rozumieje loicznie?

— Dotąd twierdzono, i bylibyśmy za to gardło nasze dali, że naczelnik Komisji funduszów poseł Szaniecki staje w imieniu i z upoważnienia emigracji przeciw Grabowskiemu, Chońskiemu i spółce, w sprawie o *Polskę-Malowniczą*, aż tu gmina zjednoczonych Polaków w Paryżu, *Val-de-grace* zwana, ogłasza, że Szaniecki jest spółnikiem Grabowskiego, Chońskiego i dalszych. Bądźże tu mądrym!..

— Piszą w *Kronice*: «Dyplomacya nasza nowym cieszy się tryumfem. Książę Adam Czartoryski i carewicz moskiewski Aleksander, tegoż dnia, téjże samej godziny, i na témże samém posiedzeniu na członków do najwybredniejszego (le plus fasionable) z arystokratycznych klubów angielskich przyjęci zostali. Mówią że książę udał się już do Londynu, aby też równocześnie z carewiczem po raz pierwszy na posiedzenie klubu być wprowadzonym.» Co za honor dla księcia! co za afront dla carewicza!

Wspomnienia historyczne.

Kiedy jednemu żołnierzowi z pulku grenadyerów, po bitwie Ostrołęckiej dobywano z nogi kulę karabinową, znosił tę operacyę najspokojniej, tylko mówił: — To mi przykro że mnie taka pchła skaleczyła; nie żal dostać, ale od działowej kuli.

— Raz podczas powstania, Leon Sapieha, podał Skrzyneckiemu silybusa do fajki. Skrzynecki począł żartować, że mu książę uślujuje. Sapieha tłumaczył, że to hardzo naturalnie robią szlify porucznikowskie dla jeneralskich. Podobał się Skrzyneckiemu koncept, zapalił fajkę, pomyślał, i uderzając po ramieniu Sapieha, *jesteś kapitanem!* zawołał.

— Rydygier wkroczywszy do Krakowa stanął otoczony swoim sztabem wśród rynku, i nieziadając z konia zdjął z głowy kapelusza i przemówił do zgromadzonych: Niech będzie pochwalony Jezus-Chrystus! — Na wieki wieków Amen. — odpowiedzieli. Rydygier po tym wstąpić zawołał: — Mikołaj I. cesarz wszech-Rosyi niech żyje! ale ani jeden głos nieodezwał się na to. Rydygier włożył kapelusza, i zwracając konia, rzekł do adjutantów: Zapomniałem, że to Krakowiaczy!